



KLIMEK



POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE
BIULETYN INFORMACYJNY ZARZĄDU
ODDZIAŁU SOSNOWIEC

ROK XIV

LIPIEC 2009

3(52)

Ścieżka rowerowa po Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej

W rozumieniu Ustawy o Ochronie przyrody ochronę przyrody rozumie się: zachowanie, odnawianie jej zasobów i składników przyrody oraz prawidłowe wykorzystanie. Dlatego człowiek jako podmiot społeczny ma prawo nie tylko do pracy, ale również do wypoczynku i świętowania. Ustawa ogólnie ujmuje kilka celów ochrony przyrody. Jeden z tych celów mówi o kształtowaniu właściwych postaw człowieka wobec przyrody, tym bardziej, że ochrona przyrody jest obowiązkiem każdego obywatela, organów państwowych samorządu terytorialnego, a także jednostek organizacyjnych oraz osób prawnych i fizycznych prowadzących działalność wpływającą na przyrodę.

Uwzględniając zabytki oraz piękno krajobrazu Wyżyna Krakowsko -Częstochowska niejako zaprasza do pieszych i rowerowych wycieczek.

W związku z powyższym byłbym za wytypowaniem ścieżek rowerowych w dwóch wersjach:

- po pierwsze- po szlakach pieszych istniejących z ewentualną korektą objazdów
- po drugie- po malowniczych terenach drogami publicznymi, polnymi i leśnymi według mapy samochodowej z pewnymi odjazdami i powrotami do miejsc szczególnie wymagających odwiedzenia.

Opracowany i wydany przewodnik (przewodnik mógłby służyć odwiedzającym turystom). Zatem przewodnik powinien zawierać ogólną charakterystykę Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej z : rycinami, zdjęciami roślin i zwierząt, rys historyczny i kulturotwórczy, trasy rowerowe z oznakowaniem, kilka rodzajów map, zagospodarowanie turystyczne, słowniczek niektórych nazw geograficznych, architektonicznych, przyrodniczych .

Najdogodniejszym środkiem lokomocji jest kolej, gdyż ilość miejsc w autokarach jest bardzo ograniczona, choć korzystne dla wędrowek tereny znajdują się daleko od pociągu. Dlatego trasy powinny być poprowadzone w ten sposób, aby można było pod nie podjechać pociągiem na odcinkach(Katowice-Częstochowa, Katowice-Sędziszów, Katowice-Kraków).

Wyżyna Krakowsko-Częstochowska to wspaniały teren na wycieczki i biwaki. Również piękna pogoda zachęca do wyjazdu z domu. Jeśli się trochę pomyśli, to zawsze można znaleźć co najmniej kilka ciekawych miejsc, w które warto się wybrać, bez konieczności noclegu w terenie.

Przed wyruszeniem w drogę, należy najpierw dobrze zaplanować, gdzie chcemy jechać i jak się tam dostać. Pomijam tutaj fakt posiadania własnego samochodu, bo wtedy zorganizowanie ciekawego wyjazdu jest bardzo proste. Na jednodniową wycieczkę najlepiej wybrać trasę do której czas dojazdu, łącznie z przesiadkami, nie zajmuje nam więcej niż 1-2 godziny.

Jeżeli już wiemy, gdzie chcemy jechać i co zobaczyć, dobre jest sprawdzić rozkłady jazdy pociągów i autobusów- to na wypadek przykrych niespodzianek.

Na dłuższej ścieżce przyda się przewodnik, mapa i kompas. Turystyka z przewodnikiem, to chyba najlepszy sposób na piękne i ciekawe spędzenie dnia w nieznanym terenie. Ścieżki prowadzą do najbardziej interesujących miejsc nad rzekami i pośród lasu uwzględniają zabytki i historię danego terenu. Należy jednak pamiętać, że w parkach i rezerwach poruszamy się szlakami oznakowanymi. W innych miejscach doświadczony turysta posługując się mapą i kompasem może samo ułożyć całkowicie odmienną trasę wycieczki; przyjemność odkrywania terenu jest niezaprzeczalna. W czasie przejazdu należy także pamiętać, że w stosunku do opisu mogły zajść zmiany w terenie, np. wycięto stary drzewostan, poszerzono drogę, ścieżka przestała być używana i znikła.

Planując trasę trzeba wziąć pod uwagę odległość i czas potrzebny na przebycie łącznie z postojami. Do tego należy doliczyć jeszcze czas na zwiedzanie, odpoczynki i rezerwę na wypadek zabłądzenia. Koniecznie trzeba to wszystko uwzględnić by noc nie zastała nas w środku lasu.

Odrębny problem dla niedoświadczonego turysty stanowi odpowiedni ekwipunek. A więc ubiór stosowny do pory i rodzaju trasy, dobrze zaopatrzony plecak. Należy koniecznie pamiętać o zabraniu ze sobą, małej apteczki, czegoś od deszczu, żywności: kanapek, owoców, cukierków, czekolady, termosu z gorącą herbatą.

I pamiętajmy !! Wszelkie puszki i opakowania po zużytej żywności zabieramy ze sobą do śmietników. Nawet zakopane w lesie odpadki, mogą zostać wydobyte na wierzch przez zwierzęta poszukujące resztek jedzenia.

W społecznej świadomości od dawna funkcjonuje przekonanie o dydaktycznych korzyściach płynących z każdej podróży. Garść świeżych obserwacji, wzbogacanych solidną porcją doznanych wrażeń wpływa inspirująco na myślenie każdego amatora wszelkich eskapad. Aby się o tym przekazać wystarczy sięgnąć do skarbca światowej literatury i wyciągnąć stosowne wnioski.

Jednak nie tylko dzikość orientalnych podróży czy zachód słońca nad Pacyfikiem mogą być źródłem niezapomnianych wrażeń. Okazuje się bowiem, że praktycznie każde zetknięcie się z nową rzeczywistością i z nowymi ludźmi, wywiera duży wpływ na sposób myślenia człowieka, ubogaca go i na swój sposób urzeka niepowtarzalnością zdarzeń, stwarzając klimat sprzyjający refleksji. Takiego ubogacenia człowiek może doznać również na terenie Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej.

WNIOSKI:

- Ścieżka rowerowa przyczynia się do krótkiego wypoczynku i kilkudniowego urlopu.
- Z uwagi na małą bazę noclegową, ścieżka rowerowa najbardziej wskazana.
- Przejazd rowerem pozwala na obejrzenie o wiele więcej miejsc przyrodniczych i historycznych niż turystyka piesza w jednostce czasu.
- Rowery różnych klas opóźniają lub przyspieszają przejazd, ale nie obniżają żadnych wartości.
- Ścieżki rowerowe zaczynają i kończą się w pobliżu dogodnych połączeń kolejowych.
- Ścieżki rowerowe pokazują w terenie więcej wartości pozytywnych niż ujemnych.
- Ścieżka rowerowa wpływa na poprawę stanu zdrowia ogólnego i wypoczynku.
- Ścieżka rowerowa ubogaca człowieka w wartości przyrodnicze, historyczne i kulturowe.
- Ścieżka rowerowa spełnia rolę udostępnienia terenów chronionych i szczególnie chronionych dla wszystkich chętnych.

Opracował: Krzysztof Czesak

Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie

Zgodnie z decyzją fundacji księcia Aleksandra Lubomirskiego w 1891 r powstał klasztor w podkrakowskich Łagiewnikach dla kobiet i dziewcząt potrzebujących głębokiej odnowy moralnej. Fundator nie spodziewał się, że jego fundacja za sprawą polskiej mistyczki Siostry Faustyny Kowalskiej stanie się po ponad 100 latach głośna na całym świecie.

Autor obrazu- „Jezu ufam Tobie” Adolf Hyla namalował to dzieło dzięki wizji siostry Faustyny. Natomiast pragnieniem Ojca Świętego Jana Pawła II było, aby to sanktuarium stało się Światowym Centrum Bożego Miłosierdzia.

Ksiądz Franciszek Macharski powierzył prof. Witoldowi Cęckiewiczowi zorganizowanie konkursu na projekt urbanistyczno-architektoniczny Sanktuarium w Łagiewnikach. Ponieważ czas naglił, to prof. Cęckiewicz sam zdecydował i wykonał makietę nowej bazyliki, która została zatwierdzona osobiście podpisem Ojca Świętego w dniu 7.06.1997 r podczas pobytu w kaplicy Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach.

Należy dodać, że projekt Światowego Centrum Miłosierdzia Bożego jest dziełem życia prof. Cęckiewicza i pomagającej mu rodziny architektów.

Świątynia Miłosierdzia Bożego nawiązuje do tradycyjnej łodzi, której wieża jak latarnia na morzu wytycza bezpieczny kierunek. Kościół jest wyznaczony na planie elipsy. Ściany zewnętrzne o powierzchni ponad 2000 m² wyłożone zostały jasnymi płytami wapiennymi sprowadzonymi z Turcji. Wnętrze o zaokrąglonych ścianach ma kolor niebiesko-szary rozjaśniający się podczas zbliżania się do prezbiterium, to samo dotyczy okien- im wyżej tym jaśniejsze- okna są wąskie i wysokie.

Prezbiterium jest oświetlone w naturalny sposób i nawiązuje do promieni na obrazie Jezusa Miłosiernego. Podczas dnia światło spływa dzięki świetlik- tubusa do podstawy prezbiterium o powierzchni 300 m². Wieczorem prezbiterium będzie oświetlone dzięki reflektorom.

Posadzka prezbiterium wykonana jest z jasnobłękitnego marmuru karraryjskiego z Włoch-Toskanii o wymiarach 3,5 m x 1,05 m. Tabernakulum w postaci połączanej kuli o średnicy 2 m. Po obu stronach tabernakulum znajduje się wystrój w postaci brązowego odlewu, symbolizującego krzak targany wiatrem o wysokości 5,5 m. Te gałęzie otulają kopię obrazu wizerunku Jezusa Miłosiernego o wymiarach 2,8 m x 1,2 m namalowanego przez krakowskiego malarza Jana Chrzęszcza. Obraz ten jest jedynym w kościele o potrójnych drewnianych ramach inkrustowanych mosiądzem.

Sklepienie o układzie siatkowym w odcieniu jasnego brązu zawieszone jest na podwójnych żebrach promieniście wychodzących z okalającego prezbiterium.

Na ścianach prezbiterium umieszczono 8 dużych gablot (2mx1 m) zabezpieczonych pancernymi szybami, w których umieszcza się wota składane przez ofiarodawców Chrystusowi Miłosiernemu i św. Faustynie.

Drogę Krzyżową w postaci cyklu płaskorzeźb wykonanych z piaskowca na ścianach bazyliki. W oknach szyby zastępują witraże, a na chórze zainstaluje się organy.

Kamień węgielny pochodzący z Golgoty poświęcony przez Ojca Świętego w 1997 r umieszczono w ścianie frontowej bazyliki. Stojąca obok wieża ma 76 m wysokości i jest drugą co wielkości w Krakowie. Na szczycie stoi stalowy połączany krzyż o wysokości 5 m na połączanej kuli o średnicy 90cm, w której znalazły się ważne dokumenty związane z historią budowy Sanktuarium. Wybudowana bazylika w obecnym stanie kosztowała około 40 mln zł. Ponadto dojdą koszty związane z wystrojem i wyposażeniem. Drugi co do wielkości kościół-Bazylika Sanktuarium Miłosierdzia Bożego została konsekrowana przez Ojca Świętego podczas X Pielgrzymki do Ojczyzny w dniu 17.08.2002.

Opracował: Krzysztof Czesak

Dworek Krasińskich: Przedruk z „Dziennika Zachodniego”

Złoty Potok, związany z poetą polskiego romantyzmu Zygmuntem Krasińskim to prawdziwa perła podczęstochowskiej gminy Janów, położonej na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. W klasycystycznym dworku Krasińskich z 1829 r. mieści się muzeum biograficzne wieszczą, czynne codziennie od 10 do 18, w soboty i niedziele od 11 do 19. W Złotym Potoku jest też wiele innych atrakcji. Prawda, że śląskie jest fajne? Zdjęcie przysłał nam pan Krzysztof Odoj z Katowic. Dziękujemy! Nadal zapraszamy Was do zabawy. Wystarczy sfotografować swój ulubiony zakątek w woj. śląskim, a fotkę wysłać na adres: magazyn@dz.com.pl Najlepsze fotografie opublikujemy.



Fotografie dworku Krasińskich w Złotym Potoku dostaliśmy od Krzysztofa Odoja z Katowic.

Klimek52

Poeta historiozofii

Henryka Wach-Malicka

150 lat temu, 23 lutego 1859 roku, zmarł w Paryżu Zygmunt Krasinski, wybitny poeta i dramaturg polskiego romantyzmu, z którą to epoką łączyły go jednak bardziej żywioł liryczny i skłonności metafizyczne niż wspólnota ideowa.

Był Zygmunt chrześniakiem samego cesarza Napoleona, choć raczej go nie przypominał; może tylko rodowym bogactwem i koneksjami. Wrażliwy i chwiejny w uczuciach, nie potrafił wybić się na życiową niezależność, co przyczyniło się wprawdzie do wielu poetyckich wzlotów, ale potwornie komplikowało jego życie osobiste i relacje z otoczeniem.

Hrabia Napoleon Stanisław Adam Feliks Zygmunt Krasinski, herbu Ślepowron, pochodził z ustosunkowanej rodziny polskich arystokratów. Był synem Marii z Radziwiłłów i Wincentego Krasinskiego, generała wojsk napoleońskich. Gdy Zygmunt miał 2 lata, jego rodzina wróciła z Paryża do Warszawy; chłopiec pobierał tu nauki u domowych guwernerów, a potem uczył się w liceum. Wcześniej, jako dziesięciolatek, stracił matkę i od tej pory decydujący wpływ na jego życie wywierał ojciec.

Generał był człowiekiem nieznośnym sprzeciwu, syna uważał zaś zawsze osobę niedojrzałą i bezwonną. Wincenty Krasinski wstawił się poddańczym uwielbieniem wobec rosyjskiego zaborcy i tego samego wymagał od Zygmunta. Młodzieniec nie zgadzał się z politycznymi poglądami ojca, nigdy jednak, do końca swego życia, nie sprzeciwił się jego woli.

Gdy Zygmunt Krasinski studiował uniwersyteckie prawo, ojciec zakazał mu udziału w polskich organizacjach i manifestacjach patriotycznych. To był powód totalnego (i nie ostatniego w jego biografii) ostracyzmu otoczenia wobec młodego hrabiego. Zygmunt, za namową ojca, wyjechał do Szwajcarii, gdzie kontynuował studia. Nigdy już do kraju na stałe nie

wrócił, choć przyjeżdżał na krótsze lub dłuższe pobyty. Podróżował po Europie, głównie po licznych uzdrowiskach włoskich, francuskich i austriackich, zdrowia był bowiem nad wyraz wątłego. Poecie groziła utrata wzroku i suchoty, często nawiedzały go też depresje i fobie wywołane nieustającymi konfliktami z ojcem. Zmagał się również z kompleksem własnej bezradności i nieuregulowanym życiem osobistym.

Twórczość Zygmunta Krasinskiego, którą zaczął uprawiać bardzo wcześnie, ma wyraźny związek z jego życiem i doświadczeniami. Mimo wyboru praktycznego kierunku studiów, poetę bardziej niż prawo fascynowały filozofia i historiozofia. Był w tej mierze najbardziej bodaj wykształconym z polskich wieszczów, czytał zresztą i pisał w kilku językach.

Duże znaczenie dla pojmowania roli literatury miało dla niego spotkanie z Adamem Mickiewiczem. Nie połączyła ich serdeczna zażyłość, bo ta związała później Krasinskiego z Juliuszem Słowackim, ale prawdą jest, że napisana trzy lata po spotkaniu z Mickiewiczem „Nie-Boska komedia” nie przypominała w niczym młodzieńczych powieści historycznych, którym Krasinski zamierzał się poświęcić.

„Nie-Boska komedia” pozostała utworem zagadkowym i nie w pełni jasnym do dziś, co zresztą czyni ją fascynującym materiałem dla współczesnych reżyserów teatralnych. Sam autor nie ukrywał, że rozlicza się w tym dramacie z osobistą klęską; powolny rozkazom ojca nie wziął udziału w powstaniu listopadowym, co było jego wyrzutem sumienia do końca życia.

Podobnie jak w tym dramacie, także w „Irydonie”, poeta stawia zasadnicze pytanie: czy ofiara pojedynczego człowieka może być ceną za zbawienie ludzkości? I czy mamy jakkolwiek wpływ na „Boże plany”, których przecież nie znamy?

Utwory Zygmunta Krasinskiego pełne są aluzji, wielopiętrowych symboli i rozmyślań filozoficznych i religijnych, ale



Hrabia Zygmunt Krasiński zmarł 150 lat temu



Dworek Krasińskich w Żółtym Potoku, pow. częstochowski

także rozważań o niedoskonałości natury ludzkiej i bólu istnienia. Przez całe życie poeta miał poczucie, że kogoś krzywdzi i ktoś przez niego musi (!) cierpieć, bo „takie są wyroki losu”. Na jego neurasteniczną naturę nakładały się konflikty moralne. Przymuszany przez ojca do małżeństwa z niekochaną przez siebie Elżbietą Branicą, nie tylko nie powiedział „nie”, ale uczynił z jej życia prawdziwe piekło. Posunął się nawet do tego, że zmusił żonę do wspólnego zamieszkania z jego

wieloletnią kochanką – Delfiną Potocką. Prawem paradoksu jednak, to trudna miłość do Delfiny zrodziła jedno z najpiękniejszych w literaturze polskiej erotyków. Krasiński napisał dla ukochanej pełne uniesienia wiersze, a do niej – ponad 700 listów dziś uznanych za arcydzieło literatury.

Zygmunt Krasiński zmarł na chorobę płuc; tam, gdzie się urodził – w Paryżu. Jego zwłoki spoczęły wkrótce w rodzinnym majątku w Opinogórze koło Cielchanowa.

„Księdza też ciągnie w Himalaje” - Rozmowa z Jackiem Jawieniem-Przedruk z „Gazety Wyborczej” 6.02.2009

KSIEDZA TEŻ CIĄGNIE W HIMALAJE

Rozmowa z
Jackiem Jawieniem

Jawień to jeden z najbardziej utalentowanych himalaistów młodego pokolenia w Polsce. 33-latek wspina się od 1993 roku. Zaczął od skałek na Jurze, potem były Tatry i Alpy, a w końcu Himalaje, w których był już na kilkunastu wyprawach. Teraz na dach świata zabiera ludzi, którzy jeszcze kilka lat temu mogli o tym tylko pomarzyć.

Wojciech Todur: Kto Pana namówił, żeby zabrać w Himalaje pracownika gazowni?

JACEK JAWIEŃ: Podczas wypraw w wysokie góry, a już szczególnie po powrocie, często słyszałem: „Kurcze! Jak bardzo chciałbym tam z tobą pojechać!”. Pomyślałem, że to przecież nie jest wyprawa na Księżyc i mogę to zorganizować. Najśmieszniejsze jest to, że osoby, które tak bardzo namawiały mnie na organizację takiej wyprawy, na koniec się z tego pomysłu wycofały (śmiech).

Nie bał się Pan, że ludzie, którzy mogą zgubić się w drodze na Gubalówkę, nie poradzą sobie na wysokościach, które znali dotąd tylko z filmów przyrodniczych?

- Oczywiście, że się bałem. W czasie wypraw na K2 czy Shisha Pangma obserwowałem osoby, które towarzyszyły zawodowym himalaistom. Pierwszy raz zobaczyłem taką grupę zimą w bazie pod K2. Szli na doczepkę, w nogach mieli dziesięć dni męczącego marszu, brak tlenu dawał im się we znaki, a jednak byli szczęśliwi.

Kim byli ci ludzie?

- To cały przekrój społeczeństwa. Prowadziłem pracownika gazowni, murarza-tylnikarza, księgową, lekarza, prawnika, właściciela kantoru, a ostatnio nawet księdza!

Ile trzeba mieć pieniędzy, żeby myśleć o wyprawie w najwyższe góry świata?

- Najwięcej pożera przelot. Bilety lotnicze to wydatek od 3,5 do 5 tys. zł. Koszty pobytu w Nepalu to kolejne 1,5 tys. do 3 tys. dolarów. Wyprawy trwają od dwóch do trzech tygodni. Po przeliczeniu na jeden dzień wychodzi jednak taniej niż wczasy w Tunezji. A wrażeń? Nie ma co porównywać!

W jaki sposób można zostać członkiem Pana grupy?

- Nie reklamuję się, nie ogłaszam, nie znajdziecie mnie w internecie. Musi cię polecić ktoś, kogo znam i komu ufam. Grupa jest mocno elitarna - to taki lańcuszek ludzi, którzy kochają przygodę. Na trekking zabieram 15-16 osób.

Zdarzyło się, że komuś Pan odmówił?

- Była jedna pani. Rozmawiałem z nią tylko przez telefon, ale to wystarczyło, aby nabrać podejrzeń. Wydała mi się arogancka i przemałowała. Wiedzę czerpała z internetu, wszystkich traktowała z góry. Nie wdawałem się z nią w dyskusję, stwierdziłem tylko, że nie tym razem. Miała nosa, pojechała z inną grupą i wiem, że z jej powodu jeden konflikt gonil drugi.

Pan nigdy się nie pomylił w doborze członków wyprawy?

- Pewna kobieta dała mi dobre popalić! Była słaba fizycznie i tę słabość przelewała na mnie. Zaliła się, że idziemy za szybko, że trasa jest źle dobrana. Ktoś inny nie potrafił zrozumieć, że jesteśmy w Azji i że nawet w najlepszym hotelu po kuchennym stole może przebiec karaluch. Zazwyczaj jednak grupa jest bardzo zgrana, jest wesoło.

Przed wyjazdem spotyka się Pan z osobami, za które w Himalajach bierze Pan odpowiedzialność?

- Staram się spotkać z każdym, kto jedzie w wysokie góry pierwszy raz w życiu. Przed pierwszą wyprawą zaprosiłem wszystkich w skałki. Chciałem ich przygotować mentalnie.

Boją się?

- Powiedziałbym, że mają obawy. Najczęściej pytają o zdrowie, o to, jak sobie poradzą z chorobą wysokogorską. Uspokajają się, gdy mówię, że zawsze zabieram na wyprawę lekarza. Działają jak placebo - ludzie nie chorują (śmiech).

Zadnych problemów?

- Niestety, tak różowo nie jest. Dla osoby, która nigdy nie wspięła się wyżej niż na Krupówki, przebywanie na wysokości 5-6 tys. metrów nad poziomem morza to wielki stres. Nikt nie wie, jak jego organizm zachowa się w wysokich górach. Choroba wysokościowa nikogo nie omija. Pojawiają się nudności, bóle głowy, drętwienie.

To bardzo nieprzyjemne. Sam tego doświadczyłem, więc staram się innych na to przygotować. Choroba wysokościowa to między innymi zatrzymanie wody w organizmie, wiąże się z brakiem czasu na odpowiednią aklimatyzację. Człowiek puchnie na twarzy, na rękach. Nie ma jednak co się bać, tylko trzeba działać. Większość uczestników bierze zapobiegawczo tabletki diuramidu i zapewniam, że cieszą się każdym dniem.

Przed wyjazdem zagląda Pan uczestnikom wyprawy do plecaka?

- Każdemu wysyłam szczegółową listę niezbędnych rzeczy. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś zamiast butów zabrał klapki. Lista to jedno, a niekończące się telefony to drugie. Nie pozostawiam nic przypadkowi.

Kto dyktuje tempo grupy?

- Każdy idzie swoim. Trzymamy się jednak zasady, żeby najslabszy docierał do bazy nie później niż dwie-trzy godziny po najmocniejszym. Nie ma reguły. Miałem w grupie 61-letniego mężczyznę, który radził sobie zdecydowanie lepiej niż 23-latek. Pracownik biurowy targal pod górę, aż się za nim kurczyło, a wytrenowani maratończycy czlapali nogą za nogą. Ludzie pytają, czy przed wyjazdem trenować. Odpo-

wiadam, że mają leżeć w domu i powoli oddychać. Jedna dziewczyna potraktowała wyjazd w Himalaje jak na obóz sportowy. Tuż przed wylotem skreśliła kolano i została w domu.

Jak sobie radzić z zimmem, ze zmieniającą pogodą?

- Tęgo typu wyprawy odbywają się najczęściej jesienią albo wiosną, gdy pogoda jest stabilna. Latem szaleje monsun, a zimą, wiadomo, Himalaje stają się bardzo niebezpieczne. Warunki atmosferyczne rzeczywiście są czasami trudne, ale dobry sprzęt bardzo ułatwia wędrówkę. Zdarzają się jednak sytuacje, gdy nie udaje się osiągnąć zamierzonych celów. Tak było ostatnio, gdy głównym celem wyprawy miało być zdobycie szczytu Pachermo [6273 m n.p.m. - przyp. red.]. Z powodu zagrożenia lawinowego nie udało się to żadnej z dwóch grup. Ludzie byli rozczarowani. Co ciekawe, największe pretensje miał człowiek, który był ratownikiem. Myślę, że miał chwilę słabości, a z czasem do niego dotarło, że nie warto było ryzykować.

„Skazani na zapomnienie”- Monika Rogozińska-24.04.2009-Przedruk z „Rzeczpospolitej”.

Skazani na zapomnienie

Nanda to jedno z imion demonicznej bogini śmierci pożerającej ciała swych ofiar. Święta góra, którą wedle wyznawców zamieszkuje, leży w Himalajach Garhwalu. W kwietniu 1939 r. na szczyt wschodni masywu Nanda Devi wyruszyła pierwsza polska wyprawa w Himalaje. Uczestniczyło w niej czterech inżynierów. Kierownikiem był Adam Karpiński (42 l.), lotnik i konstruktor szybowcowy, jeden z czołowych wspinaczy Polski międzywojennej, z doświadczeniem wysokogórskim zdobytym w Andach. Marzyciel, głosił ideę zorganizowania polskiej ekspedycji na Mount Everest, nierealną wówczas z przyczyn politycznych. Sam projektował sprzęt górski, który matka szła potem na maszynie, a rodzina i przyjaciele wypróbowywali zimą w Tatrach. Podczas wędrowki do bazy będzie zbierał nasiona rododendronów na prezent dla matki.

Stefan Bernadzikiewicz (32 l.), jedyny na tej wyprawie bezdzietny kawaler, wspiął się w Tatrach zimą, uczestniczył w ekspedycjach na Spitsbergen i Grenlandię oraz w Kaukaz.

Jakub Bujak (34 l.), inżynier z dyplomem, wynalazca metody zwiększania mocy silników wysokoprężnych, wszedł samotnie na nartach na dwa najwyższe szczyty Skandynawii, wędrował po Alpach, był na Kaukazie, gdzie tak zachwycił się jedną z gór, że nazwał jej imieniem córkę. Opisany przez kolegę jako „skarbnik dusigrosz” i „łagodny choleryk o rozlicznych zaletach charakteru”, dobro wyprawy zawsze przedkładał nad własne ambicje.

Janusz Klarner (29 l.), najmłodszy i najmniej doświadczony, przeżyje ich wszystkich, lecz nie na długo. – Nasz ojciec był oburzony, że Janusz, oficer rezerwy, mimo narastających nastrojów wojennych

chce wyjechać z Polski – wspomina siostra Jadwiga Klarner-Szymanowska. – Janusz dał ojcu uroczyste słowo honoru, że w razie wojny na pewno wróci do kraju. Słowa dotrzymał.

To dzięki ojcu Janusza wyprawa ostatecznie wyruszyła – pożyczył ekspedycji dużą sumę pieniędzy. Janusz, na podstawie dziennika prowadzonego podczas wyprawy, napisał w czasie wojny książkę „Nanda Devi”. Wydać ją można było dopiero w 1956 r., już po jego tajemniczym zniknięciu.

Krzyż na śniegu

Po prawie czterech tygodniach akcji powyżej bazy Klarner wraz z Bujakiem, trapionym wcześniej silnymi atakami tropikalnej dżynterii, 2 lipca 1939 r. o godz. 17.30 zatknęli polską flagę na dziewiczym wschodnim wierzchołku Nanda Devi – szóstym co do wysokości zdobytym wówczas przez człowieka. „Podziwiamy rozciągający się widok – pisał Klarner. – Nagroda taka rzadko tylko spotyka wspinacza zdobywającego szczyt. Wieloimienna bogini śmierci, Parwati – Kali – Nanda, uznała nas widać za pątników pobożnie odbywających pielgrzymkę, a nie za świętokradców wdzierających się do jej siedziby – chce nasze wysiłki wynagrodzić widokiem godnym bogów”. Igrał z losem, pytając: „Czyżby nie było prawdy w wierzeniu, że zginie ten, kto stanie na jej szczycie, a Nanda pożre jego ciało?”.

Schodzili w świetle księżyca. Tę polską drogę śnieżno-lodową granią Szerpa Tenzing Norgay, przyszły zdobywca Mount Everestu, uzna za najtrudniejszą w swojej karierze.

Pomimo wyczerpania, odmrożeń, znacznej utraty wagi alpinści wyprawy nie zakończyli. Z karawaną tragarzy udali się do pobliskiej doliny lodowca Milan. Karpiński i Bernadzikiewicz uznali tamtejsze dziewicze góry za najpiękniejsze, jakie do tej pory widzieli. 18 lipca założyli „na doskonałym miejscu”, jak twierdzili, tymczasowy obóz II (6150 m) w drodze na Tirsuli (trójkąb), masywu o trzech siedmiotysięcznych wierzchołkach.

Gdy następnego dnia Bujak z Klarnerem i Szerpami przybyli na miejsce obozu II, teren pokrywały spiętrzone zwały lawiniska z porzucanymi przedmiotami: puszkami, butami, żywnością... Głaz kolegów nie odnaleźli. Z kłków traserów zrobili krzyż i wbili w śnieg.

Wiadomość o wybuchu II wojny światowej zaskoczyła ich w drodze powrotnej na statku w Bombaju. 9 września przekroczyli granicę polską, idąc pod prąd fali uciekinierów. Bujak przedarł się do Lwowa 11 września. Żony z dwójką dzieci nie spotkał. Przebywały na wakacjach pod Rzeszowem, gdy wkroczyli Niemcy. Kiedy dotarli do domu, Jakuba już tam nie było. Wedle relacji córki, Magdaleny Bujak-Lenczowskiej, przez Ru-

munie i Francję, gdzie zaciągnął się do polskiej armii, dostał się do Anglii. Zwolniono go z wojska, żeby pracował w fabryce silników Diesla, a potem jako konstruktor silników odrzutowych w objętym tajemnicą dziale doświadczalnym Rolls-Royce'a. Opatentował wynalazki.

Wszystkie urlopy i wolne dni spędzał na wędrownościach i wspinaczce w Wielkiej Brytanii. Został członkiem Alpine Club. Ze względu na pracę przydzielono mu ochronę, która towarzyszyła mu nawet podczas wspinaczek. Tęsknił do kraju, do żony i córek. Po zakończeniu wojny zgłosił władzom pragnienie powrotu.

- Wyprawę na Nanda Devi East pogrzyżyły w niepamięci celowe działania Urzędu Bezpieczeństwa PRL - mówi Anna Pietraszek, dziennikarka telewizyjna, pracująca dziś w Instytucie Pamięci Narodowej. - Kiedy w 1989 r. robiłam film w 50. rocznicę tej ekspedycji, zaskoczyło mnie, że w środowisku wspinaczy nikt o niej nie mówił, nie istniała jej legenda, tak jakby nigdy się nie odbyła. Klarner w 1949 r. przygotował książkę do druku. Sfilmowałam dokument, w którym żądano usunięcia jego nazwiska z okładki. Nie zgodził się. Wkrótce zginął. Jakiś człowiek mówił rodzinie, że widział go skato-

Jedzie dziesięciu uczestników zaprawionych w alpinizmie jaskiniowym, wspinaczce ścianowej, lodowcach wysokich gór. Średnia wieku 33 lata.

- Chciałbym przy okazji tej wyprawy przypomnieć historię, a także promować obecne młode pokolenie himalaistów. Trudne cele wspinaczkowe mało kogo obchodzą poza środowiskiem, a temat kłótni przyciąga. Oczywiście, idąc jej śladem, wolelibyśmy nie powtarzać w 100 procentach tamtej ekspedycji. Kiedy uczestnicy wracali do kraju, wybuchła wojna - mówi Jan Lenczowski.



■ Masyw Nanda Devi, na pierwszym planie wierzchołek wschodni. W głębi główny szczyt masywu (7816 m).
■ Z lewej. Lipiec 1939 r. Jeden z polskich alpinistów na szczycie Nanda Devi (7434 m)



5 lipca 1945 r., w przeddzień planowanej podróży do Polski, wspiął się z partnerką w Kornwalii nad brzegiem morza. Obydwoje zaginęli. Znalaziono tylko namiot i plecak Bujaka.

Policja uznała, że prawdopodobnie ulegli wypadkowi lub utonęli. Przyjaciele wykłuczali samobójstwo. Bujak tworzył nowoczesne technologie wojskowe, uważano, że mógł być zamordowany przez Brytyjczyków, kiedy postanowił wrócić do Polski, lub uprowadzony przez wywiad radziecki.

Magdalena Bujak-Lenczowska ojca nie pamięta, choć był obecny w opowieściach rodzinnych. - Jedyna pamiątka, jaka po nim została, to aparat fotograficzny Leica, który miał na wyprawie na Nanda Devi East - mówi.

Przepadł jak kamień w wodę

Janusz Klarner okupację spędził w Warszawie, w konspiracji. Stracił oko ciężko ranny w głowę podczas akcji zniszczenia reflektora niemieckiego w Lesie Kabackim. Walczył w powstaniu warszawskim. Po wojnie prowadził warsztat samochodowy w Warszawie. 17 września 1949 r. wyszedł ze swego mieszkania na Saskiej Kępie. Był lekko ubrany, bez dokumentów. Do rodzinnego domu oddalonego o kilkaset metrów nigdy nie dotarł. Zniknął.

wanego w kazamatach UB przy ul. Cyryla i Metodego. Nie udało się z tym mężczyzną ponownie skontaktować. Też przepadł jak kamień w wodę.

Annę Pietraszek zafrapowała informacja, jaką znalazła w relacji z wypadku na stokach Tirsuli. Na lawinisku leżała pokrywa od kamery. Zatem któryś z uczestników nakręcał ruchome obrazy! Po wyemitowaniu jej filmu w telewizji zgłosił się ktoś, kto widział w archiwum w Londynie pudełko z napisem „Nanda Devi 1939”. Udało się je odnaleźć. W środku był film z polskiej wyprawy na... najwyższy szczyt Ameryki Południowej, Aconcagua, z 1937 roku.

- Pracownicy archiwów brytyjskich dalej szukali dla mnie filmu z Nanda Devi. Obrazy z każdej znalezionej taśmy opowiadali przez telefon. Nie stać mnie było na wyjazd do Londynu, a TVP nie była tematem zainteresowania - wspomina Anna Pietraszek. - Któregoś dnia podniosłam słuchawkę. To był ten film!

Trwał 11 minut. Jego pokaz w lutym ubiegłego roku w mieszkaniu Anny Pietraszek szeroko relacjonowały media w Polsce.

Kilka miesięcy później wnuk Jakuba Bujaka - Jan Lenczowski (32 l.) ogłosił wyprawę na Nanda Devi East 2009 śladem dziadka. Organizując ją, przedstawia się jako najbardziej zajęty bezrobotny himalaista. Łatynoastryk z wykształcenia, ekonomista z licencjatem, śmieje się, że do wysokości przyzwyczajał się pracując przy budowie kotłów przemysłowych. Wspiął się na różnych kontynentach, przeszedł zimną Kamczatkę.

Wstrząsające odkrycie

Dobrym duchem wyprawy jest jego kuzyn, Narcyz Sadłoń (33 l.) z Kościeliska. Lekarz, oficer, który na konferencji prasowej wystąpił w białej góralskiej koszuli z metalową spinką parzenicą. Jego pradziadek był stryjem Jakuba Bujaka.

Tak jak 70 lat temu, wyprawianie doszła do skutku, gdyby nie wsparcie rodziny. Głównym sponsorem jest Andrzej Duda (którego babcia była ciotką Jakuba Bujaka), prezes firmy budującej m.in. mosty.

- Wujek i tym razem pomaga postawić most, do przeszłości - kwituje Jan Lenczowski.

Wyprawie towarzyszy operator filmowy. - Pragnę stworzyć film dokumentalny łączący wszystkie wątki tej historii - mówi Anna Pietraszek. - Zdjęcia będą korespondowały z ujęciami z 1939 r. Patronat nad realizacją filmu objął prezydent Lech Kaczyński oraz IPN, który prowadzi dochodzenie dla wyjaśnienia okoliczności śmierci Janusza Klarnera i Jakuba Bujaka. Dla mnie najbardziej wstrząsającym odkryciem jest to, jak wiele wysiłku wkładał UB w zacieranie życiorysów wybitnych Polaków, żeby młode pokolenie nie wiedziało, że ma bohaterów narodowych także w sporcie.

Palmarny honorowy nad wyprawą objęły: Ministerstwo Sportu i Turystyki, Polski Związek Alpinizmu i Działalności Polskie The Explorers Club.

W telewizji można zobaczyć reklamę, w której młoda kobieta, zupełna amatorka, cieszy się, że zdobyła Mount Everest. Poprowadziłby Pan księgową na najwyższy szczyt świata?

- Ludzie coraz częściej mnie o to pytają. Dla agencji, z którą współpracuję w Nepału, to żaden problem, więc kto wie? Mount Everest to dziś bardzo skomercjalizowana góra. Przyciąga ludzi z całego świata, którzy traktują jej zdobycie jak kolejne trofeum. Droga na szczyt jest oporęczowana, jest stała baza, a w niej komputery. Tylko od uczestników wyprawy zależy, ile wezmą ze sobą tlenu, a najczęściej idą z tlenem na sam szczyt. Każdy ma swojego Szerpę [nepalskiego tragarza - przyp. red.], który podąża za tobą krok w krok. Niesie bagaż, rozbija namiot, a jak mu dodatkowo zapłacisz, to i obiad ci ugotuje.

Ile to kosztuje?

- W pełnej wersji około 20 tys. dolarów. Gdy jesteś bardziej samodzielny, wystarczy 12 tys. Pewnie znalazłbym chętnych na taką wyprawę, ale powiem szczerze, że Mount Everest specjalnie mnie nie ciągnie. Sama góra jest wyjątkowa, ale te tłumy...

Jak najwyżej do tej pory zabrał Pan „ludzi z miasta”?

- 6189 metrów. To był szczyt Island Peak w dolinie Kumbu w okolicach Mount Everestu. Bardzo wysoko. W zeszłym roku bez większych problemów przemierzaliśmy też przełęcz na wysokości 5400 metrów. Na wszelki wypadek jeden z naszych nepalskich przewodników niósł butlę z tlenem.

Największy problem, z jakim przyszło się Panu dotąd zmierzyć.

- To było podczas pierwszego wyjazdu. Na Okęcie wyrzucono nas z samolotu.



ZBIERKA Z ARCHIWUM JACSA JAWIENIA

Uczestnicy wyprawy trzymają się zasady, by najsłabszy docierał do bazy nie później niż dwie-trzy godziny po najmocniejszym

Mieliśmy lecieć do Katmandu przez Delhi. Pani, która nas odprawiała, zaczęła się od nas domagać indyjskiej wizy. Nie brała w ogóle pod uwagę, że Delhi jest dla nas tylko miejscem przesiadki. Problem był podwójny, bo pojawił się dopiero wtedy, gdy wszyscy poza mną zajęli już miejsca na pokładzie. Nie było wyjścia. Musieliśmy wysiąść i kupić nowe bilety u kolejnego przewoźnika.

Ludzie pewnie chcieli Pana rozszarpać?

- Miło nie było. Wiedzieli jednak, że nie jestem biurem podróży i tylko pomagam w zakupie biletów. Gorzej, że niektórzy nie mieli pieniędzy na kolejne bilety, więc trzeba było zrobić zrzutkę. Jakoś się udało, ale niesmak pozostał. Potem oddaliśmy sprawę do sądu, ale odzyskaliśmy tylko pieniądze za opłaty lotniskowe.

Polacy podczas wakacji lubią się napić. W Himalaje też pewnie nie chodzą sami abstynenci?

- Niestety, zdarza się, że ktoś wypije za dużo. Taka osoba odczuwa to potem najmocniej, bo rano są kłopoty. Karawana idzie jednak dalej. W górach nigdy bym takiej osoby nie zostawił, ale raz w hotelu byłem już tego bliski. Szukaliśmy gości po pokojach, narażając się na to, że samolot odleci bez nas. Na szczęście to są wyjątki.

Jak takie wyprawy traktują ortodoksyjni himalaści? Nie oskarżają czasem takich jak Pan, że otwieracie przypadkowym turystom drogę do świata, który był dotąd dostępny nielicznym?

- Gdy zaczynałem się wspinać, patrzyłem na taką działalność z wielką rezerwą. Ale że tylko krowa nie zmienia poglądów, z czasem spojrzałem na to, co robią, z innej perspektywy. To praca jak każda inna. Masa stresu, ale też i wielka satysfakcja. Poza tym świat się zmienia, wysokie góry już od dawna nie są zarezerwowane tylko dla wspinaczy. Ludzie szukają nowych wrażeń i emocji. Dlatego ciągnie ich w Himalaje. ●



Wyprawy odbywają się najczęściej jesienią albo wiosną, gdy pogoda jest stabilna

VI Jurajski Rajd Rowerowy PTT Oddział Sosnowiec

Zaborze: 26-28.06.2009

26. 06.

8⁰⁰ zbiórka w Parku Sieleckim (miejsce po byłym pomniku)

Trasa: wzdłuż Czarnej Przemszy – Pogoria - Antoniów – Ujejscy – Siewierz – Żarki
Letnisko – Przybór – Zaborze

18⁰⁰ Posiłek

20⁰⁰ Ognisko, gitara, śpiew

27. 06.

9⁰⁰ Trasa: Zaborze – Olsztyn – Złoty Potok – Janów – Czatachowa – Zaborze

18⁰⁰ Posiłek

20⁰⁰ Ognisko, gitara, śpiew

28.06.

9⁰⁰ Trasa powrotna: Zaborze – Warężyn – Przeczyce – Psary – Sosnowiec

Koszt uczestnictwa: 65 zł obejmuje 2 noclegi (domki 4 osobowe), 2 gorące posiłki, ubezpieczenie, ogniska.

Zgłoszenia do 15. 06. przyjmuje Sylwester Dąbrowski tel. 606874140 lub 032 7492827

„Czarna legenda pokonana”-Kinga Baranowska-Przedruk z „Rzeczpospolitej”-12.06.2009

Wyglądałam tam rzeczywiście koszmarnie – potwierdza Kinga Baranowska. – Znajomi mówią, że jestem nie do poznania z tak opuchniętą twarzą. Wspinając się bez tlenu z butli.

Zadeklowała wejście Wandzie Rutkiewicz, która zaginęła na Kangczendzongie w 1992 r. Kinga miała wtedy 16 lat. Nie mogła wówczas przypuszczać, że dotrze kiedyś tak wysoko i w takim stylu. Nie była do tamtej pory jeszcze w żadnych górach.

Urodziła się w wiosce Łebno niedaleko Wejherowa w rodzinie Kaszubów z dziada pradziada. Ojciec pracował w firmie transportowej, matka była krawcową. Mieli kawałek ziemi. Dzieci na wakacje nie wyjeżdżały. Spędzały je na wsi, pomagając rodzicom.

– Wychowanie na wsi procentuje teraz przy różnych niespodziankach w podróży – śmieje się Kinga. – Na ostatniej wyprawie w Nepalu jechałam traktorem po górskich wertepach. Patrzyłam z rozbawieniem na mękę siedzącego obok mnie prezesa jakiejś firmy z Andory. Wyraźnie pierwszy raz dosiadał takiego pojazdu. Robactwo, pajaki też mnie nie ruszają. Chociaż od marszu przez górzystą dżunglę pod Kangczendzongę mam fobię na pijawki. Obudziłam się w nocy w namiocie i poczułam kilka na sobie. Nieprzyjemne w dotyku, grube, opite. Zapaliłam lampkę, pojrzałam na nie, ale nie mogłam spać. Jak są chude, to trudno je zauważyć. Wydawało mi się, że wejdą mi na twarz, wokoło...

Magiczne praktyki

Studiowała geografie na Uniwersytecie Gdańskim. Po I roku pojechała na praktyki geologiczne w Tatry i, jak twierdzi, zwariowała na punkcie gór.

– Te praktyki były magiczne – wspomina. – Przechodziłam trasy pięć razy szybciej, bo chciałam zobaczyć pięć razy więcej.

Zapisała się na kurs przewodnika tatrzańskiego.

– Szybko zleciałam szlaki wzdłuż i w szerz. Czula niedosyt. Siedziałam kiedyś na zatłoczonym szczycie Kościelca. Na grani, w oddali zobaczyłam dwójkę odpoczywających wspinaczy. Pomyślałam: co ja tu robię w tym tłumie?

Kurs taternicki ukończyła w nadbałtyckim Klubie Wysokogórskim Trójmiasto. Chciała przenieść się na studia do Krakowa, żeby być bliżej gór i o nich pisać pracę magisterską. Na UJ jej nie przyjęli z braku miejsc w akademikach. Zdesperowana, pracę napisała o erozji gór wystających z wody – klifów nadmorskich.

– Zwracała uwagę przede wszystkim uroda – mówi wieloletni prezes Klubu Trójmiasto Michał Kocharczyk. – Ale czuło się też jej szerokie zainteresowanie górami, rozmach i dynamizm. Nigdy bym nie przypuszczał, że w tej dziewczynie jest tyle zacięcia i determinacji. Nie była wspinaczem technicznym, ta-

kim jak Wanda Rutkiewicz czy Anna Czerwińska, ale ciągnęło ją w wysokie góry, a do przebywania na dużych wysokościach ma wyjątkowe predyspozycje.

Po studiach Kinga pracowała w Gdańsku, zajmując się pierwszym multimedialnym podręcznikiem do geografii dla gimnazjów zatwierdzonym przez ministerstwo. Do dzisiaj lubi dłużyć w komputerze. Nadawanie multimedialnych korespondencji z wypraw na ośmiotysięczniki nie sprawia jej trudności.

Po przeniesieniu się do Warszawy w 2002 roku nie mogła znaleźć pracy. – Żeby nie zwariować bez zajęcia, pożyczyłam pieniądze i pojechałam na kredyt do Afryki na Mount Kenię. Pomogło. Już następnego dnia po powrocie miała pracę.

Pierwsza wyprawa w Himalaje, rok później, zakończyła się sukcesem. Jako dziewczyna Polka stanęła na szczycie ośmiotysięcznika, zdobyła Cho Oyu.

Na Broad Peak była 11. kobietą w dziejach himalaizmu. Na Nanga Parbat wspięła się jednym z najwyższych urwisk Ziemi – mając 3,5 km wysokości ścianą Diamir. Była jedyną kobietą wśród uczestników pięciu wypraw. Na szczytach Dhaulagiri i Manaslu znalazła się jako pierwsza Polka. Dopiero jednak wejście bez tlenu w maju tego roku na potężną Kangczendzongę, należąca do grupy wysokich ośmiotysięczników, wprowadziło tę małą, drobną blondynkę do elity kobiecego himalaizmu.

Za sprawą Koreańczyków nie jest pewne, czy została piątą czy szóstą niewiastą, która pokonała Kangczendzongę.

– Koreańczycy są dziwni – uważa Kinga. – Nietowarzyscy, nie sposób ich poznać. Podobno Koreańska, miss Ho, weszła na szczyt przed nami wszystkimi. Poszła fama przez bazę, że ma osiem ośmiotysięczników na koncie, a w tym roku chce zdobyć pozostałe sześć na tlenie.

nie, żeby zostać pierwszą zdobywczynią Korony Himalajów. Zakazała swoim Szerpom udzielania informacji. Twierdziła, że wchodziła bez tlenu 22 godziny na szczyt z obozu IV. Nie miała zdjęcia. Tego dnia strasznie wiało. Bez tlenu musiałaby się odmrozić. Uznano, że kłamie.

Akcja ratunkowa

Prawdziwie natomiast pieniądze, które miss Ho kazała płacić za rozpieranie przez jej Szerpów lin poręczowych na lodowych serakach. Chodzili po bazie ze skarbonką, zbierając myto.

– Druga Koreańska, miss Go, zleciała do bazy z nieba. Przybyła helikopterem bezpośrednio spod Makalu, po wejściu na szczyt. Wszystkie ośmiotysięczniki chce zaliczyć na tlenie też w tym roku. Na sześć wspięła się szybko, przerzucała helikopterami z bazy do bazy. Ma bogatego sponsora i menedżera.

Na wierzchołku Kangczendzongi stanęła przede mną, wsparta ogromną wyprawą. Razi mnie ten brak poszanowania gór, mistyki, bezduszne zaliczanie na tlenie. Wchodzenie na tlenie traktuję tak, jakby wspiąć się na sześciotysięcznik, a nie na 8000 m.

Ta wyprawa była dla Kingi najtrudniejsza. Musiała oswoić czarną legendę Kangczendzongi jako góry nie lubiącej kobiet, karzącej je śmiercią za wtargnięcie. Cały czas walczyła też z przeziębieniem i osłabieniem.

– Wędrówka do stóp Kangczendzongi trwa dwa tygodnie przez najbiedniejszy rejon Nepalu. Nie można było kupić jedzenia. Tragarze zrywali zielsko i kroili na talerz. Jestem mięsożercą, więc byłam na tym paliwie słaba. Szłam z gorączką, na antybiotyku.

Jadła zielsko i tęskniła do kaczki z żurawinami. Powyżej bazy cały ekwipunek wносиła sama.

– Wynajęcie Szerpy kosztuje 3,5 tysiąca dolarów. Nie stać mnie na to. Jeśli jednak dzieje się coś złego, to na nich można liczyć. A to, co się stało, przestraszyło mnie.

Dołączyła do jednej z wypraw hiszpańskich. Z obozu IV (7700 m) wyruszyła o 2.30 w nocy. Wspinacz, z którym wystartowała, wycofał się. Przed nią na szczyt weszła z towarzyszymi Edurne Pasaban, Baskijka, dla której Kangczendzonga była 12. ośmiotysięczni-



Ośmiotysięczniki Kingi Baranowskiej

- + Cho Oyu (8201 M) - 2003
- + Broad Peak (8047 M) - 2006
- + Nanga Parbat (8125 M) - 2007
- + Dhaulagiri (8167 M) - 2008
- PIERWSZA POLKA
- + Manaslu (8163 M) - 2008
- PIERWSZA POLKA
- + Kangczendzonga (8598 M) - 2009
- PIERWSZA POLKA

kiem. Kinga na wierzchołku stanęła sama. W zejściu dogoniła grupę Edurne. Do obozu IV dotarli razem w nocy.

- Rano wyszłam późno z czwórki, bo pakowałam sprzęt i namiot, żeby to znieść. Doszłam do Edurne, która zaczęła coraz częściej siadać. Wreszcie nie miała siły wstać. Towarzysze próbowali ją podnosić, ale ona się osuwała. Trudno pomagać, kiedy wszyscy są totalnie wyczerpani, po szczycie.

Dwie osoby zostały przy Edurne, a ja i chłopak z Hiszpanii postawiliśmy obok nasze ciężkie plecaki ze sprzętem i osobistymi rzeczami i pognaliśmy na dół do obozu III, żeby powiadomić Szerpów, z którymi nie było łączności. Zaalarmowani przez nas, wspięli się do Edurne i ją sprowadzili. Ktoś doniósł tlen. Wszystko dobrze się skończyło, ale dla mnie to była przestroga. Na tych wysokościach katastrofa przychodzi nagle i niespodziewanie. W obozie IV Edurne reagowała normalnie. Chwilę potem wystąpiły objawy obrzęku mózgu. Gdyby nie miała Szerpów do dyspozycji, to źle by się to skończyło. Tam są ogromne przestrzenie, podczas zejścia trzeba także iść po lodowcu płaskim jak stół, a nawet ostro do góry. Sama ledwo wciągałam się na rękach po poręczowce. Trudno wyobrazić sobie samotny odwrót półprzytomnej osoby, ledwo powłóczącej nogami.

Akcja ratunkowa nie najlepiej skończyła się dla Kingi. Straciła plecak z dobytkiem. Szerpowie wzięli z jej plecaka tylko kamerę i aparat fotograficzny. Za ich zniesienie musiała zapłacić.

- Szkoda mi tych rzeczy. Były cenne, lekkie (tytanowa menażka), szyte na miarę, bo jestem mała i trudno mi kupić ekwipunek.

Zauważyła, że dobrze znosi długie dystanse. Kinga wie, że szybkość jest kluczowa i że można ją zwiększyć treningiem. Biega i jeździ na rowerze. Potrafi pokonywać dziennie po dwa odcinki wspinaczki: z bazy podejść do II obozu, z I do III.

- Sama jestem ciekawa swoich możliwości. Do obozów przychodziłam totalnie zmęczona. Koledzy z Hiszpanii dziwili się, że weszłam na Kangczendzongę w warunkach, jakie miałam. Edurne ma swojego trenera, codziennie ćwiczy przez kilka godzin kondycję. Telewizja sponzoruje jej wyprawy i dba o otaczającą ją stałą męską ekipę, składającą się z himalaistów mających za sobą po kilkanaście wejść na ośmiotysięczniki.

- Kinga jest bardzo zmotywowana - mówi Artur Hajzer, który obserwował ją na dwóch wyprawach. - Jeśli ma określony cel, to żeby go osiągnąć, nie godzi się na żadne kompromisy. Idzie jak burza. Szkoda, że jej start do Korony Himalajów jest tak opóźniony. Mogłaby być pierwsza, ale jeśli będzie druga lub trzecia, to i tak będzie wielka. A ma szansę. Jej rywalki są bardzo wyczerpane.

Marzenie

W ubiegłym roku dla gór Kinga Baranowska porzuciła pracę w firmie teleinformatycznej. Żyje z prelekcji. Jej wyprawy wyposaża na razie firma oferująca ekwipunek turystyczny. Ostatnią ekspedycję wsparła też firma farmaceutyczna. Po zejściu ze szczytu Kinga wysłała do mnie e-maila:

- Dla mnie Kangczendzonga to nie tylko wyjście z bazy. Mam tyle stresu związanego z przygotowaniem samej takiej wyprawy, teraz zastanawiam się, czy po powrocie na prąd mi wystarczy.

Mówi, że nie zwraca uwagi na krytyczne opinie ze strony mężczyzn, wspinaczy skalnych, atakujących jej „nieambitne” poruszanie się klasycznymi drogami pierwszych zdobywców latem. Cieszą ją i dodają otuchy e-maile, jakie dostaje od nieznanych jej ludzi.

„Chciałam Ci pogratulować wspaniałego wyczynu!!! dla mnie jesteś Wielką i wspaniałą dziewczyną. Szkoda że tego nie widzi Twoja poprzedniczka Wielka Wanda Rutkiewicz. Poza tym zrobiłaś nam Polkom ogromną satysfakcję, że my dziewczyny też potrafimy i to w dzień urodzin naszego Ojca Świętego. Wielkie Ci Dziękii!!!! twoja fanka:)))

Kinga marzy o tym, żeby mieć kilku stałych, zaufanych partnerów wypraw. Za kilka dni wylatuje w Karakorum Pakistanu na dwa ośmiotysięczne Gasherbrumy. Towarzyszą jej dwie osoby z Polski, koleżanka lekarz, z którą była już na ekspedycji w Himalajach, i kolega, z którym nigdy nie była w wysokich górach. ■

www | Film ze szczytu można obejrzeć na stronie

www.kingabaranska.com

-KOMENTARZ

MONIKA ROGOZIŃSKA
POTRZEBA OPIEKI

Himalaizm jest sportem o bezwzględnie prostych regulach. Można wejść na szczyt i zejść, wycofać się wcześniej albo zginąć.

Wejściem na trzeci szczyt Ziemi Kangczendzongę (8598 m) bez pomocy tlenu z butli Kinga Baranowska udowodniła, że należy do ścisłej czołówki kobiecego himalaizmu. Grupa ta jest nieliczna i szybko się zmienia. Rekord Wandy Rutkiewicz, która zdobyła osiem ośmiotysięczników, przez dziesięć lat od jej zaginięcia na stokach Kangczendzongi był nie do pobicia. Kobiety, które walczyły o Koronę Himalajów - 14 szczytów 8-tysięcznych - porywał wiatr, grzebały lawiny, umierały z wycieńczenia, zamarzały, znikły bez śladu. Dramatyczna historia tych zmagających pokazuje, że im lepsze zaplecze wypraw, tym większe szanse mają na przeżycie. Profesjonalny trening, odpowiednia regeneracja po wyprawie, transport, właściwy sprzęt, odżywianie, opieka lekarska, menedżer, doświadczeni partnerzy wspinaczkowi to elementy, które mogą zapewnić sukces sportowy.

Piłkarza, który ma kontuzję, znosi się z boiska. W Himalajach niezbędne jest zatrudnienie dobrych tragarzy wysokogórskich, na których można liczyć w sytuacji awaryjnej. Kinga obdarzona została rzadkimi i niezbadanymi jeszcze możliwościami organizmu do aklimatyzacji na dużej wysokości.

Jeśli jednak nie stworzy się jej indywidualnego programu sportowego wraz z opieką finansową należną wybitnym sportowcom, to będzie jak Wanda Rutkiewicz - wielka, słynna i opuszczona przez wszystkich.



„Kto przyszedł zastrzelić Oppenheima”: Paweł Smoleński i Bartłomiej Kuraś-Przedruk z Gazety Wyborczej z 30.04.2009

Zima, tegi mróz, śnieg po pachy. W powietrzu niepewność, strach wyjść po zmroku nawet na Drogę pod Reglami, na Krzeptówkach ludzie siedzą po chłupach. Lomot do drzwi, on otwiera. Widzi trzech mężczyzn.

Zrazu są pewni swego. Krzyczą, że tak skończy każdy zdrajca.

On każe im się wynosić.

Ale boi się ona. Piękna, długie włosy jak ciemne złoto; wołała na nią Ruda Wanda. Krzyczy, zasłania ciałem ukochanego. Pada pierwszy strzał, drugi; mężczyzna leży w kałuży krwi, kobieta ranna.

Napastnicy plądrują mieszkanie. Pytają rudą piękność: „Kim on był?"; tak przynajmniej zapisano w kilku relacjach.

Niebawem okaże się, że z mieszkanka nic nie zginęło. Albo prawie.

28 stycznia 1946 r. w swoim domu na Krzeptówkach został zastrzelony Józef Oppenheim - Opcio albo po prostu Józio. Miał 59 lat. Ze zdjęć widać postać niezbyt wysokiego brzuchacza, w pumpach i grubych, wełnianych skarpetach. Łysawy, duży nos, twarz raczej pospolita.

Ale pamiętajmy - to był wspaniały narciarz i niezły taternik. Romantyk i marzyciel; przynajmniej tak o nim pisano. Przez ćwierć wieku pełnił funkcję naczelnika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, najdłużej w całej historii TOPR-u.

Nadto - był znakomitym fotografikiem, wytrawnym brydżystą, kobieciarzem, byłalcem salonów i kawiarni, duszą towarzystwa. Choć po ratowniczych wyprawach, zwłaszcza gdy znosił z gór ciała strzaskane upadkiem w przepaść, uciekał między wierchy, bo po prostu nie lubił śmierci.

Powiadano, że zrazu tylko psy poznały się na Oppenheimie; jest wiele zdjęć, na których tuli do siebie wielkie owczarki podhalańskie. Potem pokochały go kobiety. Dopiero później reszta świata.

A gdyby tego było nie dość, Oppenheim to był Żyd, komunista, konspirator i spiskowiec. Miał wspaniałego harleya. Skąd taki motor? Miał i już.

I jeszcze chował tajemnice, o których do dziś nikt nie chce mówić w Zakopanem. Choć - Bogiem a prawdą - nie ma już nikogo, kto o owych sekretach mógł usłyszeć od samego Oppenheima.

Przyjechał do Zakopanego z akademicką wycieczką w 1910 r. Miał 23 lata i kawał biografii za sobą. Zdał już konspirować w III Proletariacie. Drukował i rozprowadzał bibulę. Nielegalnie przekraczał granice zaborów. Po linie splecionej z prześcieradeł uciekł z carskiego więzienia. Studiował na kilku uczelniach, od francuskiego Nancy, przez Fryburg, Berlin i Lwów. Ale urzekły go Tatry, więc został, choć do ukończenia studiów zabrakło mu jednego egzaminu.

Prowadził dom turystyczny AZS na Łukaszówce zwany Gospodą Włóczęgów. Podobno zbierało się tam wyrotowe towarzystwo; do gospody zaglądał nawet Lenin.

Ale też Opcio bratał się z zakopiańską elitą. Z nawiedzonymi poetami i z niedokończonymi malarzami. Z dramaturgami tworzącymi po meskalinie i z uroczymi trutnikami zawsze skorymi do kieliszka.

Łaził po górach, choć od wspinaczki wołał wielodniowe włóczęgi na nartach. Latem lubił leżeć wśród traw i oglądać przełazki, które niebawem okryje śnieg. Często zabierał ze sobą kobiety, więc utarło się, że jest nalogowym lowelase, choć przecież miał narzeczoną w Krakowie.

W 1912 r. składa przysięgę ratownika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Do TOPR-u przyjmuje go sam Mariusz Zaruski, twórca Pogotowia, miłośnik gór, żeglarz, malarz, pisarz, zesłaniec, uczestnik niepodległościowych spisków. Pierwsza wyprawa - po ciało Klimka Bachledy, legendarnego przewodnika, który zginął na Jaworowym Szczycie, mimo że nie musiał zginąć.

Gdy dwa lata później Zaruski idzie do Legionów (w wojsku dośłużył się generała), zostawi TOPR Oppenheimowi.

Przynajmy - wszystko przemawiało za tym, by Oppenheim tej funkcji nie dostał. Jest w górach raptem cztery lata. Uwielbia nocne popijawy, za kiejką poleci na koniec świata. Otwarcie komunizuje. Przyszłego generała, nawykłego do drytu, wszystkie te cechy Oppenheima musiały jeżyć niepomiernie.

Poza tym Opcio jest Żydem i każdy w Zakopanem o tym wie. Podobnie jak o góralskim antysemityzmie, prześmiewczym, lekceważącym. A to w końcu górale (niektórzy z nich lubili podpytać o rasowe pochodzenie - A tyń haw, to ni je cosik lcek?) stanowili znakomitą większość ratowników Pogotowia. Jak więc ten czerwony Żyd, żydokomuna po prostu, miałby zdobyć ich zaufanie?

Zresztą - Zaruski może nie był endekiem, jednak należał do Ligi Polskiej. I mimo to wybrał sobie Op-

penheima na następcę. Dlaczego? Nie ma na to pytanie odpowiedzi.

Chyba że najprostsza - polubił Oppenheima. Albo bardziej skomplikowana - wiedział o nim coś, czego my już się nigdy nie dowiemy.

Michał Jagiello trafił do tatrzańskiej grupy Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego u progu lat 60. Była to wielce ciekawa gromada. - Z jednej strony starzy przewodnicy i ratownicy; niektórzy pamiętali początki Pogotowia. I ludzie nieco młodszy, kilku z wyrokami za partyzantkę u „Ognia”, ale też tacy, których nigdy nie złapano, więc się nie wychylali z opowieściami. Garść inteligentów - ceprów.

Mineło nieco czasu, nim górale zaufali Jagielle. Już nie było pytania, którego nie mógłby zadać. Lecz nie na wszystkie uzyskiwał odpowiedzi - Michale, mendrolem jesteście, przy rozumie. Tako mon-dry, co pojmujecie: bee dło wos barz lepszy, jako syckiego ni zwiedziecie sie.

I tak było ze wszystkimi niemal pytaniami o Oppenheima. - Nigdy nie powiedzieli z tego słowa na to, że był czerwony. Nie wytykali mu bezbożnictwa. Nigdy nie padło ani jedno zdanie o jego żydostwie. Józio był dla nich kimś. Przyjacielem, choć szef. Nie mam pojęcia, jak to zrobił.

Bywało, że za wyprawę ratowniczą Oppenheim nie wypłacał uczestnikom złamanego grosza, choć już Mariusz Zaruski ustalił wysokość TOPR-owskiej dniówki. Mówił wtedy: - To jakiś biedny student, jakiś malarz, poeta.

Ale bywało, że oznajmiał: - Tego kupca z Łodzi, Żyda, policzymy za trzech uratowanych.

Gdzieś tak od lat 20. zaczęły ginać legitymacje TOPR-u. Z półsłówek starych ratowników można było wysnuć wniosek, że dostają je komuniści uciekający na Zachód. A gdy zaczęła się wojna domowa w Hiszpanii, legitymacje gineły na potęgę. Choć trudno sobie wyobrazić, by pobożni, konserwatywni górale prowadzili przez Tatry ochotników do czerwonych brygad. Tyle że - najpewniej prowadzili; był między nimi Józef Krzeptowski, król wojennych kurierów. I nie pytali, czemu prowadzą, skoro chciał tego Opcio.

Ale też - dowiedział się kiedyś Jagiello - już po rozbiórce Czechosłowacji w 1938 r. kilku TOPR-owców biegło na południową stronę Tatr podglądać słowackie wojsko i niemieckich oficerów, którzy we wrześniu '39 mieli zająć Zakopane. Pytał przewodników, czy robili to za wiedzą i zgodą Oppenheima.

Odpowiadali: - A jako nos majster miał hawtego ni zwiedzieć? Hawto byłoby ni na scyrości.

- A czy wiedział ktoś jeszcze? - pytał Jagiello.

- Michale, mendrolem jesteście, przy rozumie...

Może więc Oppenheim spodobał się góralom, bo nie był góralomanem i kochał góry.

Albo - dlatego że pozwalał na bliskość, choć sam jej nie odwzajemniał; wołał słuchanie od zwierzeń. Szanował prawdziwą odwagę, bo sam był niebojący. Gardził pozerstwem; niewiele wiedział o jego górskich wyczynach. Przytykał oczy na drobne niesubordynacje, bo sam nie znosił regulaminów. Krył nieposłuszeństwo podczas wypraw, bo wiedział, że z tego powodu zginął Klimek Bachleda. Dawał zarobić, choć niekiedy nie dawał. Lubił się napić. Dotrzymywał tajemnic.

Jeszcze w czasach Gospody Włóczęgów Opcio zajął się fotografią. Musiał mieć talent; wnet jego zdjęcia Tatr złożone w album wygrały konkurs na prezent dla papieża Piusa XI.

Ale nikt nie zapytał, skąd Oppenheim nauczył się fotografii i bardzo skomplikowanej podówczas obróbki negatywów.

Miał narzeczoną w Krakowie, Julię Steinhilber. Była Czeszka, nie umiała wymówić „Józio”, tylko „Józ”; podobno kochał się na zabój. Zapisala mu dom na Krzeptówkach, gdzie zginął.

Julia zachorowała na raka, więc u schyłku lat 30. Opcio jeździł do niej na harleyu. Podawał morfina. Czuwał przy łóżu śmierci. „Do-

chowował przyjaźni, był naprawdę wierny i lojalny” - tak napisała Ruda Wanda, która miłośności do Oppenheima o mało co nie przypłaciła życiem. Czeszka nienawidziła Rudej. Opowiadała: ta Ruda męczy Józka, w górach hałny, a ciąga go na jakieś wycieczki. Zresztą z wzajemnością, bo Ruda nie lubiła Julii. Rozwiodła się dla Opcia. Przeczekała jego romanse.

Właśnie na harleyu Oppenheim podobno uciekł z Zakopanego w pierwszych dniach września '39. Zabrał ze sobą kasę TOPR-u, którą zostawił w Krakowie. I papierzyśka, które być może były bardzo ważne.

Chciał do Warszawy, lecz rzeka uciekinierów zepchnęła go na Wschód. Początek sowieckiej okupacji Kresów spędził w Kowlu. Rzecz jasna - u kobiety, siostry rosyjskiego rewolucjonisty, który w Zakopanem poznał go z Leninem.

I nagle - wraca do okupowanej Warszawy. W Powstaniu pomaga przy ewakuacji szpitala na ulicy

Hożej. Nosi rannych AK-owców, mimo że nigdy (nigdy?) nie był w AK-owskiej konspiracji.

Jest - jak wielu warszawiaków - ewakuowany do Pruszkowa. Nikt go nie rozpoznaje, choć to prawie niemożliwe. Niemcy nie zauważają jego żydowskiej twarzy.

Jeszcze trwa wojna, a już jest w Zakopanem. Choć - znów podobno - mógł mieć stanowisko w Warszawie. Starzy przewodnicy chcą go na szefa TOPR-u. Zgadza się. Może nie wie, że niepotrzebna ta zgoda. Tak przynajmniej brzmi jedna z wersji jego śmierci.

Wróćmy do Zakopanego z początku wojny.

Po Krupówkach chodzą słowaccy żołnierze, miasto staje się kurortem dla niemieckich rekonwalescentów z frontu.

Rekonwalescenci chodzą w góry. Musi być więc organizacja, która pomoże im w razie nieszczęśliwych wypadków. Gdzie indziej w Polsce byłaby to kolaboracja. Ale nie w Zakopanem; wszak jest już projekt Go-

ralenvolk. Zresztą - ratownicy TOPR-u przysięgają, że w górach ratują każdego. Na czele Tatra Bergwacht staje Zbigniew Korosadowicz; mówili o nim Korek.

Korosadowicz to wspaniały taternik; gdyby Oppenheim chodził po górach jeszcze 200 lat, mógłby być jego czeladnikiem. Otwiera dziesiątki nowych przełęczy, cenią go za wytrwałość i wytrzymałość. Lecz przy okazji pamiętają słabość charakteru.

Korek lubił rządzić, lubił, gdy go słuchano. Poniewieriał ludźmi, a przez to popadał w konflikty. Choć - oddajmy sprawiedliwość - był po swojemu stanowczy i diało uczciwy. Gdy spod Kościelca górale znosili niemieckiego trupa, wściekł się, bo na nogach Niemca zobaczył kierpcę. Związał się nie obłupia; za nic miał tłumaczenie ratownika, że Niemcaćowi lepsi liż w kierpcach na niebieskom dołnie.

Podobno nadużywał władzy naczelnika i straszył ratowników robotami w Rzeszy. Ale też z pewnością legitymacja Tatra Bergwacht chroniła przed wywózką; wystawił ich parę setek, wiele lipnych. Rysował dla Niemców mapy pancerne Tatr; musieli mu ufać, skoro użyczali zdjęć lotniczych, kiedy przez góry szli kurierzy Polski podziemnej. Pisywał korespondencje z Tatr do „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” - okupacyjnej gadzinówki.

Ale - kiedy skończyła się wojna, nie zabito go, jak Wacusia Krzeptowskiego, groteskowego fuhrera Goralenvolk. Może więc zbyt nie nabroili?

Ale - być może - jednak Korosadowicz nabroili. Ile, nie wolno było tego wspominać. Zwłaszcza po tej akcji.

Luty '45, od mrozu pękają wielkie świerki. Do zajętego przez Rosjan Zakopanego dociera ze Słowacji partyzancki sanitariusz. Mówi, że opodal Zwierówki, polany w słowackich Tatrach Zachodnich już za linią frontu, jest partyzancki szpital: ranni, sanitariuszki, odmrożenia, amputacje na żywcę, brak jedzenia i lekarstw. Sowiecki naczelnik miasta zwany Patiorkinem każe TOPR-owi sprowadzić partyzantów. Jak ratownicy nie pójda - kula w łeb. Obejścia niesubordynowanych będą spalone.

Są tacy, którzy powiedzą, że Korosadowicz uchwycił się Zwierówki jak ostatniej nadziei; poszedł za front, żeby nie iść pod ścianę. I dokonał niemożliwego. Uratowali wszystkich. W normalnych warunkach - mówią nawet ci, którzy nie lubią Korosadowicza - nikt nie zdecydowałby się na taką akcję.

Jakkolwiek by było - ci, którzy mają Korosadowiczowi za złe, że we wojnę ratował Niemców, ale też ci, którzy mu nie mają - mówią jednym głosem: - Zwierówką kupił sobie życie i spokój. A może i co więcej.

Kwiecień '45 - Józef Oppenheim jest już w Zakopanem. Odkrywa, że ktoś obrabował jego dom na Krzeptówkach; zginęło kilka tysięcy fotografii. Rychło poznaje nazwisko złodzieja. Nie robi z tego afery. Dlaczego?

Ratownicy żądają, by wrócił na naczelnika TOPR-u. Zdaje się, że nie ma konkurenta. I nagle pojawia się oskarżenie - przed wojną Opcio zdefraudował pieniądze. Oskarża Korosadowicz, a wspiera go Witold Paryski, legenda Tatr, autor encyklopedii i przewodników. Opcio broni się przed koleżeńskim sądem. Choć tak naprawdę oskarża. Usłyszy wyrok, z którego mógłby być dumny biblijny Salomon. Wszyscy zostają niewinni.

Ale Oppenheim odwrócił się od TOPR-u. Zaczął organizować domy wypoczynkowe na Groniku. Ciekawe, że o tę samą posadę starał się również Zbigniew Korosadowicz. Czy cokolwiek z tego wynika?

Z chałupy Oppenheima prawie nie nie zginęło, jeśli nie liczyć półtorej setki prześcieradeł lub koców.

I może jakieś dokumenty albo - jak chcą niektórzy - jeden swistek papieru. Zresztą - nie wiadomo, czy tych rzeczy nie ukradziono wcześniej. Nie wiemy więc, dlaczego zginął Józef Oppenheim.

Zdaje się, że złapano sprawców; tak przynajmniej pisały gazety. Ponoć to byli górale z - kreślono skwapliwie - „reakcyjnego podzie-

mia”. A przynajmniej złapano jednego. Drugi miał zginąć w Starej Robociej, podczas starcia oddziału „Ognia” z KBW. Albo popełnił samobójstwo; ma dziś pomnikzek na cmentarzu w Kościelisku.

O trzecim nie wiadomo.

Do drzwi chałupy Oppenheima mordercy przyczepili kartkę: „Każdy zdrajca Komunista tak skinie”. To zagadka dla językoznawców; ten tekst nie jest pisany gwara, choć na gwara wygląda.

Starzy TOPR-owcy, z którymi gadał Michał Jagiello, mówili, że mógł to być przypadek; mało to bandziorów włożyło się wówczas pod regłami. Ludzie płotkowali, że Oppenheim trzyma w chałupie setki tysięcy złotych. Ma również te nieszczęsne kocy czy prześcieradła.

Ale rabusie przyszli bez sanek. Jak chcieli unieść łup? Dlatego - jak gadał Jagiello starzy TOPR-owcy - jeśli hawto był przypadek, to takowych przypadków niemo na hawtym świecie.

Mógł go strzelić zazdrosny mąż lub niedoszły narzeczony (chętnie opowiadają o tym kobiety).

Mogli go strzelić za żydostwo. Ale wtedy strzeliliby i Rudą Wandę; z nazwiskiem Gentil-Tippenhauer Widzgerowa mieli ją na Podhalu za Żydówkę, choć w polowie krwi była Niemką, a urodziła się na Haiti.

Mogli go strzelić za komunizowanie; podobno nawet mówili, że przyszli po „kierownika PPR”. Wtedy najpewniej zrobili to ludzie od „Ognia”.

Lecz „Ogień” wiedział, kim dla górali był Józef Oppenheim. Zresztą - stanowczo odżegnał się od tego morderstwa. Choć inne zabójstwa

komunistów odczo brał na własne sumienie.

Mógł wreszcie Oppenheim - wiele lat temu chodziła na Podhalu taka pogłoska - odkryć, kto ukradł kocy lub prześcieradła. Postraszył, że pójdzie na milicję; więc złodziej strzelił Opcia. Za mniejsze rzeczy niż kradzież koców groziła wówczas czapa.

Wreszcie - mogło pójść o ten jeden papier, jedno nazwisko człowieka niegdyś ważnego w TOPR-ze i o jakieś paskudne zaprzęgnięstwo z czasów okupacji. Pisała o tym w 1946 r. „Gazeta Ludowa”. Ostatnio jednak utrwała się koncepcja, że morderstwo było dziełem rąk, które splamiły się już podczas okupacji współpracą z Goralenvolk.

Ale w to nikt nie wierzy, prócz zwolenników dziwacznych teorii spiskowych.

Albo - mogli go zabić czerwoni. Dlatego że Oppenheim wiedział zbyt dużo. O sprawach przedwojennych i tych z czasów okupacji. Przed laty - opowiada Ja-

giello - w Muzeum Tatrzańskim pojawił się pewien palacz. Dziwnym był palaczem; zamiast podzierać do pieca, bobrował na strychu w starych papierach. Zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Co ówże palacz znalazł na strychu? Byli w Zakopanem i okolicznych przysiółkach ludzie wielce poważni, którzy twierdzili, że dokumenty. A przynajmniej wiedział, jakich dokumentów szuka. O działaczach PPR z Podhala i Nowotarszczyzny, we wojnę wysługujących się Niemcom.

- Wielekroć podpytywałem starych górali o Oppenheima - wspomina Jagiello. - Ciekawiło mnie, dlaczego o Opciu, którego w przedwojennym Zakopanem wszyscy znali, prawie nie wiadomo. I zawsze słyszałem: Michale, mendołem jesteście, przy rozumie. Tako mōndry, co pojmujeć, że nie trza syckiego zwiędzić się. Tako beś barz lepsi i dlo was, i dlo nas.

Oppenheima pochowano na cmentarzu komunalnym przy Nowotarskiej, na uboczu, niemal pod murem, choć należało mu się miejsce na Pękowym Brzysku, gdzie spoczywają zaśluzeni zakopiańscy. Dlaczego? Nie wiadomo.

Na pogrzeb przyszła ledwie garstka ludzi. Żadnego ratownika. Nie pojawił się nikt ważny z tatrzańskich związków i stowarzyszeń. Nikt z władz Zakopanego.

Grupa tatrzańską Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego nazwano imieniem Józefa Oppenheima. Dostał pośmiertnie jakiś krzyż. Lecz konia z rżędem temu, kto wiedział, że zakopiański GORP miał takie go patrona.

A przecież Józef Oppenheim miał wszelkie zadatki, by ludowa władza wyniosła go na ołtarze. Lewicowiec od kołyski, rewolucjonista i więzień caratu; grywał w preferans z sanym Leninem. Biografia w sam raz na pomnik, a przynajmniej na ulicę. A jednak w Zakopanem nie ma nawet ulicy Józefa Oppenheima. Choć patronami ulic i szkół zostawali mniejsi od niego.

Michał Jagiello zapytał kiedyś pewnego dygnitarza, dlaczego Opcio nie został czerwonym światkiem. Dygnitarz sapnął, skrzywił się i rzekł z niechęcią: - Po co mamy stawiać pomniki sanacyjnym pułkownikom?

Ale czy dygnitarz powiedział prawdę?

Jagiello nie ma pojęcia. ●



Na zdjęciu:
**Józef
Oppenheim,**
zakopiańskie
Krupówki.
Właśnie
na harleyu
Oppenheim
podobno uciekł
z Zakopanego
w pierwszych
dniach
września '39

Nie żyje znany himalaista

Krzysztof Pankiewicz, prezes Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego, zmarł wczoraj w wieku 57 lat. Pankiewicz był taternikiem, himalaistą, uczestnikiem wielu wypraw w najwyższe góry świata, m.in. słynnej zimowej eskapady na Nanga Parbat. Uczestniczył w wyprawach w Himalaje i Karakorum.

WYDAWCA: POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE O/PTT im. Gen. M. Zaruskiego

Organizacja Pożytku Publicznego Nr KRS 0000115547

41-200 Sosnowiec ul.3 Maja 29/4A tel: 0-32-2663815, www.sosnowiec.ptt.org.pl

Redakcja: Redaktor Naczelny - Zbigniew Jaskiernia, Krzysztof Czesak - Członek Redakcji